

Wincenty Burek

Rozstajne drogi

Zatańcował wiatr na wyso-
czyźnie i żywo się rozbrzykał, cho-
ciaż go się na ziemi nie dało po-
czuć. Na ziemi spoczęła nocna
cisza, a na podniebiu wiatr gwał-
tem przed sobą stadał chmur, szar-
pał pierzastą trawę i coraz napę-
dzał nowe płatki, żeby sunęły i
pomykały pod srebrną blachą
miesiąca. Miesiąc wyglądał co i
raz zza postrzępionej zastony, i
wtedy mocniej bielił się świat, a
cienie drzew, wawozów i chałup
w podkolech ostrzej się wyraża-
ły na popielatej ziemi. Światło
miesiąca myślało spokojem i ci-
chością niezamąconą.

Wiesz już spała. Śniły chałupy
w pokrowcu smutnych blasków,
drzewa stróżowały w zaduma-
nem milczeniu, wszędzie nako-
przeprętała się martwość. Pod
wzrost trupiemu światłu, pod takt
miesiącowi.

Miesiąc wylazł na połowę swo-
jej drożyny i wtedy jakby coś
wdoła widział, bo synął zna-
gła blaskiem, żeby se widzieć przy-
świecić i rozeznąć uważnie ten
kształt, co się skądś wylał i
zaczął posuwać się po pyłej dro-
dze z wiatrem. Wyrzucił
przepaść niebieski gap za chmu-
rami, a ludzki kształt i jego cień
ozwili się dziwnie i żwawo su-
nęły dnem wawozu, którego się
kręciła polna drożyna. Co jakiś
czas przystawał człowiek i przy-
stawał cień. Człowiek zgłaskał się
wylądować słuchem jakieś tajem-
nice, a cień rozplaszczal się na
ziemi, przywierał się czujnie i
niby i on się też wsłuchiwał w
to coś, tak dla obu ważne w tej
godzinie. I znowu szli obaj, szyb-
ko szli, ażeby w jakiejś chwili
przystanąć i nasłuchiwać. Aż
doszli do tego miejsca, gdzie dro-
gi za Ocinem przecinają się na
krzyż — w cztery strony świata.

— Rozstajne drogi... — zaszep-
tał człowiek. Opodal skrzyżowa-
nia garbił się pagórek, nakryty
kosmatymi wiciami dzikich róż i
ostrężyny. Ku niemu zbliżył się
powoli nocny podróżnik, jeszcze
raz wsłuchiwał się w cichość, bacz-
nie się rozejrzał wokoło i chyba
te przepały wypadły mu po my-
śli, bo długo mamrotał w cie-
niskach:

— Nikt mnie nie widział. Oj,
to dobrze, że mnie nikt nie wi-
dział.

Położył się na zwilgłej trawie
i oczami poszedł — tam. Tam
niedaleko, do doliny na podroczku
wyglądała wieś. Wkopane w ro-
dną glinę, siedziały te same zabu-
dynki, takie same jak kiedyś się z
niemi śrakał przed wielu laty na
odchodnem w daleki świat. Może
ino drzewa pozmięniały wygląd
— te się gdzieś zapodziały, inne
urośli naschwał. Wszystko jest
na swoim miejscu, laboga,
wszystko, za czem tęsknił i ma-
rzył, rozkłada się oto przed ocz-
mi i ciągnie do siebie, żeby tam
iść cożywo, napatrzyć się, z ludź-
mi się witać, rozgadawać, i żyć
z nimi pospólnie aż do wymie-
rzonej godziny. W omgleniu mie-
siąca wieś wydawała z siebie sło-
dycz spokoju, zacisza, dosytniej
przystani na cały żywot. Można
sła szła z niej i rwała do siebie
gwałtem, że ani się oprzeć.

— I jak tam iść? Jak się tam po-
kozać? — suplały się bolące my-
śli z chęćmi namolnemi, żeby
wstać spod krzewiny i iść do
wsi. — Cy go mom prawo być
tam? Jo, syn gospodarzki, a te-
raz dziad ostatni! Nie hunur,
nie hunur. Nie takim mnie wi-
dział do rozstajne drogi!

Miesiąc przechylił się ku spo-
czynkowi i spoglądał teraz zezem
na rozciągniętą na pagórku czło-
wieczą figurę. Dziwił się pewnie,
czemu ten człek nie idzie spać do
chałupy, a ino tak leży w nad-
rannym zamrozie jesieni, i że
chyba jest mu zimno w bosc no-
gi, i pewnie ciepła nie czuje w
tych łachach i dziurach, co go
ledwieco oblekają. I znowu o-
tulił się miesiącem w jasną kapotę
chmur, zmacił światło i przysnął
— i z tego omroku nadleciały do
podróżnika wspomnienia. Wspo-
minki tamszone długo, a teraz
odżyły, ostre i wyraźne, jakby
było wczoraj, a nie tak już daw-
no, wtedy, o tutaj, na rozstaj-
nych drogach...

„Hurra dziewczyno i chłop-
ków odprowadza go z muzyką do
rozstajnych dróg. Tyle śmiechu
i weselości! Choć żal za wsią i

swojakami, ale niechta, przecie
się jedzie po lepszy los, ażeby tu
wkładano wrócić z dużym za-
chłystkiem i zapocząć gospodarzki
żywot. Za drugimi, za ojcam.
Skoro mu już tak wypadło z na-
działu, że nie ziemię dostał po
ojcach, ale spłatę od siostry, i
niedużą. To potraza ją pomnożyć
we świecie i wrócić, duśnię wró-
cić, nakupić móg i brat Paolka
przed ołtarz, bo mu dziewczyna
rada jest i poczekać święcie o-
biecuje. Muzyka różnie śratalnego
marsza, chłopaki pokrzykują, co-
raz ktoś wyrzuci dobre słowo,
Paolka ma zaskłone oczy — i
wreszcie tutaj, na rozstaju, pręd-
kie pożegnanie z gromadą i
gromki krzyk na odjeździe!

— Jedź z Bogiem, Józek!
— Sześć ci, Boże!
— A wracajcie rychło!

Wielki jest ten świat i prze-
pełniony złem. Już tam świat je-
mu rajem się nie rozwinął —
o, co nie, to nie. Józek nadchyl-
nął się w kopalni i trza mu było
kawęczyć w szpitalu długie cza-
sy. Zmieniał zatrudnienia — i
co insze, to podłejšie. Naszła na
niego taka pora, że tulał się jak
pies, bo papiery mu strzymali, a
we świecie bez papierów ani
rusz i nikt cię nie przyjmie do
roboty, choćby patrzył aniołem
i wyglądał na takiego zucha, co-
by i diabła za rog z piekieł wy-
siepnął. To i skończyło się z nim
tak, jak się musiało skończyć.
Wydalił za granicę, i idźże se,
człeku, gdzie twoja wola.

Goniły się lata jak w kołowro-
cie, lata coraz cięższe, pełne róż-
nych niedoli po całutkiej ziemi.
Józek już dawno postratał się z
nadziejami, że wyjdzie naswoje
i powróci dom, żeby plany
majstrować. Mościu! Nieraz
nawet pianki w głębie nie miał,
ani gdzie głowy złożyć. I zdrowia
zabrakło, siły się rozprószyły w
zatyłanej doli. Do swoich pisać
nie pisał. Naco się to zda!

I przyszło na to Józkowi, syno-
wi ociniskich kmieci, temu parob-
czakowi kiedyś i zuchowi nad zu-

chy, że torbę dziadowską musiał
na ramię zawiesić i skamlać o
wspomnienie. Zbyt się twardej
honorowości i ambitu, co go tyli
czas podierały, odsunął od sie-
bie wstyd i on, potomek osia-
dłych pokoleń, zamianował się
na ich hańbę cesarzem dróg i
gościńców. Gorzka ta godność,
paskudne te zaszczyty.

— Żeby się choć ze swojakiem
nie spotkać. Jak jobym mu w ocy
pojrzał — przewijało mu się po
myślach śród wędrowania. Toteż
starownie cmiął znajome strony,
choć aż go paliło, żeby kogo
nabyć, co by odpowiedział —
jak tam i co tam w kochanem za-
kaciu. Czy ci najmilsi dla serca
żyją aby, co też na wsi nowego i
odmiennego. Dużo chciałby się
nawiyadywać, ale jakże można
tak tę rzecz uładzić, żeby słuch o
nim nie rozeszedł się po wsi? Żo
zszedł na dziady, w prośbiane
dziadki?! Za nic nie chciałby,
żeby o tem wiedzieli. Niech my-
śla, że zaginał naszczet, ale niech
nie wiedzą o nowym jego fachu!

Tęskno w duszy, coraz tęskniej
i gorzej. Ciężko zgnieść w sobie
uparte chęci, co aż mdla, żeby
tam jednakożoż zająć, nie do lu-
dzi, wcale nie, ale na tamte pola,
drogi. Wiesz obaczyć. Wiesz...

Poszedł do niej z walnej skądś
oddali. Szedł kryjomo zdala od
ludzi i po nocy, kiedy już wsta-
pił w strony, gdzie mogli go po-
znać. Przemykał się ścieżkami,
niczem ściegany złodziejem. Paliła
go ogrzka i gnała co tchu. I na-
reszcie wyszła mu naprzeciw ro-
dzinna ziemia, opasana polnemi
drogami, które wszystkie podają
do tamtego skupiska podok-
kuli, drzew i sadów, ażeby się
rozlać w jedną ino drogę — drogę
przez wieś. Ile sił w nogach
pogoniłby ku tej drodze, ale pa-
mięć nie nie ustawa i coraz na-
pomina, żeby przystanąć w świe-
tle miesiąca, słuchać i patrzeć,
czy kto nie idzie i go nie widzi.
Czuwał trza, choć oczy cieszą się
i tą wierzba, i tamtym zakrę-
kiem drogi, wysoką miedzą na
przydrożu i sznurkiem zabudyn-

ków w cieniach drzew. Nie czuje
zimna, po cieple chodzi gorąc i
grzeje jak kiedyś w tańcu. Co i
raz przybliża się wieś w upływie
szybkich kroków, i oto wyjawia
się oczom krzyżak dróg — roz-
stajne drogi. Józek szeptem się
wita z niemi i ze wspomnieniem,
co do nich przyłgnęło. Stąd, z
pagórka na rozstaju będzie se po-
patrywał na swoją wieś...

— Nie sie nie odmiennilo. Tak-
samo tam, jak wtedy... — przy-
wztał bezgłośnie spoglądował w
ową stronę. Obejrzał akuratnie
każdy pobudynek, przeszedł się o-
czami wpodłuż wsi, i znowu za-
czynał odnowa, ażeby niczego nie
ominąć. Mała gdzieś odmianna za-
stanawiała długo i korciła domy-
sły. — Cemuto nima brzezicy na
zogorzu pod Kodrotem? Naco ją
ścieli? O, przecie u Partyki była
strzecha na chliwach, a teraz bie-
li sie dachówka. Widać dobrze mu
leci...

Blady miesiąc długo jeszcze
poświecał patrzeniu, jakby chciał
miłosierdzie dopomóc Józkowi w
lepszym rozglądzie po wsiołskich
zakąciach. I wiatery góra przestał
ganiać, i chmurki gdzieś popola-
tywały. Zimna jasność przestrze-
niła się bez przeszkody, aż do po-
ry, kiedy na wschodzie niebo się
podróżowało i jęło się nasilać od
skrytej za górami słonecznej świa-
tłości. Miesiąc gościł poeichu.

— Trza mi już odyjść — wy-
rzekł Józek ściszonym głosem.
— Dnia ino patrzył, i jescie mnie
kto obocy. Koguty pieją na dzień,
trza iść!

Podniósł się z murawy i wtedy
znagła poczuł, że mu siły braku-
je do chodu. Gnaty odrętwiały w
zimnie jesiennego zarania i za-
nie nie chcą się rozruszać. Stąp-
nął krokiem i zadziwił się, cze-
mu nogi nie odklejały się od zie-
mi i są takie oporne, jak z drze-
wa. Z trudem zsunął jedną nogę
po pochyliznie — i stanął w znie-
ruchomieniu.

Wskroś ostrego piania kogu-
tów słychać wyraźnie szczekanie
psa. Nie ujadanie natarczywe i

złe, ale żaloszny, przeciągły sko-
wyt. Jakgdyby prosił się o coś
pies, czy kogoś wołał tem skuce-
niem. Jeden raz, drugi, a popó-
niej jednym tchem wyleciały zoda-
dali psie skowyty i rozniosły się
w okolu, dobitnie i dzwonne.

— Wiernuś! Nie przepomnio-
ieś o mnie!

Odlęciało odrętwienie, nadpły-
nęły siły, i chłop stoczył się z pa-
górza, jakby go coś stylu pchnę-
ło. Wielkimi susami zaczął pę-
dzić od rozstajnych dróg w stronę
wsi. Skręcił naprzetaj ku zagro-
dzie siostry, gwał naoslep, na nic
już nie pytając. W obrębie sio-
strzynego podkola jęczał sko-
wyt i nie ustawał.

— Wiernuś! Wiernuś!

Nikiej kosmate czapy na czole
ziemi sterują przed Józkem te
znajome pobudyki. Zgrzybiałe i
wrośnięte w caliznę, przypomina-
ją dawne lata, wszystkie czasy,
które tu przeżył z ojcam. Józek
mało co ogarnął spojrzaniem ro-
dzinne podkole, pilno mu do
wrótni, bo poza niemi ciska się
pies, skomli. Poznał go pies, na-
pewno poznał. Pies wsadza łeb w
otwór pod deskami, jakby chciał
wyrwać się na drogę do dawnego
gospodarza, co przyszedł nako-
niec po długiej rozłące. Stary,
wyleniały pies odmłodził odrazu
w radosnych podrygach.

— Psisko! Poznałeś mnie, nie
zabocyleś przez te lata? — poga-
duje Józek do zwierzaka, kuca na
ziemi i wyciąga rękę popod wy-
rwę we wrótni, żeby pogłaskać
zrudziły łeb Wiernusia. Pies
przypadał do ręki i liznął ją gorą-
cym jęzorem. Przydmione ślepi
wpłyły się uparcie w przykucniętą
postać. Wierność, radość, dzika,
zwierzęca radość brzmiała kró-
tkim skomleniem. Człowiek i pies
weselił się pospólnie w blasku
świtania.

Raptem trzasnęły drzwi sieni
od obory i rozległy się w pobliżu
czyjeś kroki. Józek zauważył
przez szpary we wrótniach, że
ktoś się zbliża w jego stronę. O-
brocił się do ucieczki.

— Kto tam? — warknął ostry
głos zza furtki, szczeknęła klam-
ka i gola głowa chłopca wysunęła
się ciekawie. Józek odrazu poznał
ten głos. Znajomy głos osadził
Józka na miejscu i wykreślił mu
głowę w swoją stronę. Tak, prze-
cież to Walek, stary kolega i
szwagier terazniejszy, siedzi na
tem miejscu po ojcach. Przecież
Walek z jego siostrą się ożenił i
tu gospodarzy. Jakże można od
Walka uciekać.

— Cego tu łazis, włoku! —
grzmia od furtki rozloszczona
słowa. Józek postąpił parę kro-
ków w ich stronę, cały w pory-
wie uciechy, że oto szwagier
przed nim i stary druh. Nawet
nie zrozumiał, że szorstkie słowa
Walka nie pieszczą powitaniem,
że nie słychać w nich zadziwie-
nia z nagłego spotkania. Zbliżył
się do Walka.

— Waleś, to ty mnie nie po-
znajes?

Chłop w furtce widział se coś
przypominał. Stał z japo otwartą
i wybahuszał oczy na oberwańca.
Patrzył się i patrzył i po chwili
zawołał niepewnym głosem:

— Nie, to cheba cary. Toś ty
Józek, prawdziwy Józek?

I przelekły zjawą nieszczęsne-
go gościa, nie ruszał się od pro-
ga. O pewnym czasie odwrócił
się i raptownie pobiegł ku sieni
i zaczął wrzeszczeć w niebogłosy:

— Franka! Franka!...

Józek oparł się o pagroty i
ciężko dychał. Pałacy wstyd du-
sił go dożywego, że nawet nie
dojrzał, jak tam jest za furtką na
tej oborze, tyle przecież bliskiej
sercu. Nie dostrzegł i tego, że krę-
ci się przy nim pies, że skika mu
na piersi i skauczy radośnie. I
nie zauważył, kiedy przed nim
stanęła siostra, a spoza niej wyj-
rzał Walek. Józek zastął na
miejscu z opuszczoną głową. O-
czu podnieść nie pośmiał. C
hańbo niezmia!

— Oj, oj, oj!... — doleciały go
wydziewania siostry. Siostra nie
zarzuca mu rąk na szyję, nie wi-
ta ciepłym uściskiem. Darmo
czekać, — żeby się na to zdobyła.
Siostra się nim brzydzi jak par-
szywcem, gardzi bratem w łach-
manach, nie witać się z nim wy-
szła, ale wydziewała:

— Ej, ty lichmonie, dziadygo!
Zdychać do mnie przylozłeś? Jo
mom dziecka, jo muse pracować,
a nie lenić się jak ty!...

Siostra inaczejby zagadała,
gdym nadzadł w pańskiej for-
mie i z nabitym trowsem. Nie by-
łoby końca witanom i przymil-
nościom. A tak:

— Nic nom po tobie, wlogaw-
ce. Nima chleba zadarmo.

— Przyszedłem popatrzyć, i już
ide — wyszedłem eichutko.

— Popatrzyć przyszedł, widzi-
cie go — przedrzeźniała. —
Wstydzi przyszedł narobić, i tyle.
Umykaj, żeby cie tu kto nie wi-
dział!...

Józek zawrócił ku drodze. Po-
czuł się, jakgdyby go kto wyprał
niemiłosiernie, niewiadomo o co.
Żal w nim wykwił z przyczyny
krzywdy, której ani się tu spo-
dział. Też go przywitali po tylu
latach!

Wstawał dzień w plomieniach
czerwieni, kiedy Józek znowu się
znalazł w rozstajnych drogach. Nie
był sam. Obok niego podskaki-
wał pies — jedyny przyjaciel.
Józek nachylał się coraz ku nie-
mu, gładził rzadką sierść i ma-
mrotał pieszczotliwym głosem:

— Dobre psisko, kochane psis-
ko. Un jeden mnie odprowadzo.

Rozstajne drogi pozawsu wy-
ciągały się we świat. Z tege
krzyżaka dróg poszedł Józek
spojrzaniem ku wsi tam wdole,
wchłonił w siebie rodzime wido-
ki, dosyta się napatrzył, nacie-
szył, i naraz zakrzyknął przera-
źliwie:

— Do domu, pies! Do domu!...

Pies szczeknął żałośnie i wy-
biegł na pagórek na rozstaju.
Przysiadł na ziemi, przekrzywił
łeb na bok i smutnemi ślepiami
odpowiadał Józkowi, dopkąd
chłop się nie schował za odle-
głym zagórsem. Długo jeszcze go
wypatrywał, i było duże słońko
na niebie, kiedy zwłókł się z pa-
górka i chwiejnym, starczym
krokiem podyrdał do swoich ob-
rębów.

Jan Korolec

Drogi rozwoju literatury pięknej

Niedawno starałem się zazna-
jomić naszych czytelników z cał-
kowicie negatywnym stosunkiem,
jaki zajmują współcześni przed-
stawiciele francuskiej młodej
sztuki wobec dzisiejszego świata
kapitałistycznego. Dziś zaś
chciałoby się oświetlić próby ich
ustalenia pewnych zasad działa-
nia w zakresie literatury pięk-
nej, w oparciu na gruntownej
krytyce dotychczasowych stosun-
ków i rezultatów.

KONIEC LITERATURY BURZUAZYJNEJ

W literaturze burżuazyjnej
zrodzonej z romantyzmu — pisze
Denis de Rougemont w numerze
25 czasopisma „Esprit” — roz-
różniamy trzy typy pisarzy.
Pierwszy typ to ci, którzy opisu-
ją życie klas posiadających. Bur-
żuazja lubi tego rodzaju utwory,
bo znajduje w nich samych sie-
bie; lud lubi je też, gdyż widzi
w nich zrealizowane marzenia
własne. Drugi typ: to poeci ro-
mantyczni, pierwcy ideału, które-
go nie można osiągnąć, gdyż u-
mieściło się go zbyt wysoko. Czy-
ta się tę literaturę, by uciec od
trosk życia codziennego, by unik-
nąć konieczności rozwiązywania
dramatu rzeczywistego. Trzeci
typ, to ludzie krytykujący jak-
najostrzej świat dotychczasowy,
ale wyrażający pogląd, że nie da
się on zmienić. Ta literatura jest
niekoczna dla uspokojenia sumie-
nia dla żywiołów młodszych. Ale
młodość i anarchja mijają tak, jak
różnica u dzieci, a nie ważnego
się nie staje. Literatura dzisiejs-
za nie wierzy w nie, nie usiłuje
nawet wzmóc w czytelnika, że
w cokolwiek wierzy. Krytyka li-
teracka, pozbawiona wszelkiego
kryterjum ogranicza swe działa-
nie do krytyki formy, nie będąc
w stanie krytykować istotnej
treści.

NOWA LITERATURA

Literatura jest coś warta i
może wywierać wpływ, o ile jej
dzieła posiadają wspólne kryte-
rium. Ale dziś wszelkie kryteria
wieku ubiegłego są uważane za
komunały i jedynym poglądem
wspólnym jest uważać je za ko-
munalny. Nasi ludzie czynu nie ma-
ją innych norm i innej miary, po-
za pieniądzem, jedynym symbolem
bezosobistej anonimowej potęgi.
Brak ideałów udaremnia wszelką
wielkość, żyjemy więc w świecie
miernoty. Takim konkretnym kry-
terjum, takim wspólnym punk-
tem będzie człowiek-twórca, o-
sobowość, który nie znajdując te-
go kryterjum w sobie, bę-
dzie musiał szukać dyktatora. Ci,
którzy znajdują to kryterjum,
dojdą wkrótce do ładu i kultury,
do której dążymy. Nowa litera-
tura będzie dziełem odródnionego
człowieka, świadomego swej swo-
bobody. Wszelka twórczość przy-
puszcza istnienie wolności, gdyż
tworzyć to być wolnym. Nowa
sztuka to nowa wolność, ale to
również nowe posłuszeństwo.
Trudno inaczej rozumieć rzeczy-
wistą wolność, niż jako wierne
spełnienie powołania osobistego.
Wolność staje się synonimem
bezwzględnej posłuszeństwa w
stosunku do jednego przyjętego
przez siebie celu. Tak pojęta
wolność daleka jest od wolności
burżuazyjnej, polegającej na
braku obowiązku. Daleka jest
również od anarchji. Wykonywa-
nie takiej wolności doprowadza
do poczucia odpowiedzialności,
będącej jedyną podstawą żywej
zbiorowości. Pisarz będzie twór-
cą tylko o tyle, o ile będzie po-
słuszny swemu osobistemu powo-
łaniu. Twórcą tem bardziej ory-
ginalnym, im większe będzie
miał poczucie odpowiedzialności
i im bardziej będzie zrośnięty ze
społeczeństwem. Jaką będzie lite-
ratura, stworzona przez odródzo-

nego, wolnego człowieka? Było-
by zbyt ryzykowne wygłaszanie
tutaj ostatecznie ustalonych po-
glądów. Zdaje się jednak, że bę-
dzie to prawdziwa literatura rea-
listyczna, zestawiająca dzisiejsze
go człowieka z celami, jakie so-
bie postawił powinien. Nowa li-
teratura będzie musiała głosić
pewne poglądy, będzie mus-
iała szerzyć prawdy, które
człowiek będzie w stanie
zrozumieć. Dlatego nowa lite-
ratura będzie musiała się zdobyć
na o wiele głębszą znajomość za-
równo życia, jak i wiedzy ludz-
kiej. Zasadą nowej literatury bę-
dzie musiała być odrzucenie zbyt
oryginalnych form, będących za-
wsze objawem społeczeństw roz-
kładających się. Może te prawdy
o nowej literaturze są zbyt ba-
nalne. Rewolucja jednak nigdy
nie stwarza rzeczywistie nowych
prawd, przypomina tylko prawdy
zaniedbane.

NOWA POEZJA

Podstawą nowej poezji będzie
szczerowość i wiara naiwna. Poeta
będzie musiał być ludzkim, by
działać, jako człowiek. Poezja
musi być odzwierciedleniem dnia
dzisiejszego, nie może odkładać
swe go powstania do pomyślniej-
szych czasów. Poezja nie może
działać na zamówienie, lub auto-
matycznie. Dziś przepaść powsta-
ła między ludźmi, a jednostką
zamknęła się w pokoju własnych
marzeń. Poezja będąca oczarowa-
niem świata, musi powstać z o-
czarowania twórcy, przebywa-
jącego w świecie ludzi, z
którymi współżyje. Zadaniem poe-
ty będzie zatem rozszerzyć
powstającą zbiorowość na wszy-
skich ludzi, pogłębiając w ten
sposób ich indywidualność. War-
tość zaś poezji zależeć bę-
dzie od siły sugestyjnej, wyjaś-
niającej niejasną myśl wszyst-
kich. Poezja będzie istnieć, o ile

będzie nawiązany związek mię-
dzy poetami, jako wtajemniczo-
nymi, a tymi, którzy pragną zo-
rozumieć przemijające światło
słów.

POWRÓT DO CZŁOWIEKA

W streszczonych powyżej po-
glądach na rozwój literatury,
uderza przedewszystkiem głębo-
ka wiara w konieczność oparcia
nowej literatury na odródnionym
człowieku, człowieku wolnym, ob-
darzonym siłą i pełną indy-
widualnością. Oczywiście ten wol-
ny człowiek to nie człowiek, jak-
rwany z gruntu ojezystego, jak
to świetnie określił Barres „gé-
racin”, lecz przeciwnie, człowiek
bardzo silnie związany z wlas-
nym społeczeństwem. W ten spo-
sób przez jednostkę dochodzą
przedstawiciele nowej sztuki do
społeczeństwa, jako niezbędnego
podłoża rozwoju naprawę wol-
nych ludzi i zbliżają w ten spo-
sób do nowoczesnego nacjonaliz-
mu, aczkolwiek szereg rzeczy ich
od niego odpycha.

ZWROT KU NACJONALIZMOWI

Przedewszystkiem wchodzi tu
w grę pewne przejawy ze-
wnętrznego dyktatury narodo-
wej zarówno we Włoszech,
jak i w Niemczech, które
mogą zresztą budzić wątpliwo-
ści nawet u najbardziej integral-
nych nacjonalistów. Przeszkoda
pewną stanowi również brak zo-
rozumienia przeszłości własnego
narodu, która przecież niejedno-
krotnie wytworzyła potężne in-
dywidualności ludzkie. Wreszcie
nie bez znaczenia jest przejęta
od marksistów, od których się
zresztą odzignują, terminologia.
Tem niemniej przedstawiciele no-
wej sztuki będą niewątpliwie się
ideowo coraz bardziej zbliżali
do nacjonalizmu, tego wielkiego
prądu przyszłości, może często
nawet nie zdając sobie z tego
sprawy.